

Dlaczego na dachu wozu bojowego jechał... nagi strażak? Czy spódnica może służyć za spadochron? Dlaczego trzeba pomagać zakochanym?

Strażak do wszystkiego podchodzi poważnie

To niesamowite, że niemal wszyscy Polacy ufają... strażakom. Strażacy kojarzą się ludziom głównie z gaszeniem pożarów i udzielaniem pomocy przy wypadkach drogowych. Jeśli nic się nie dzieje, wcale to nie oznacza, że strażacy siedzą w swoich komendach, grają w karty albo beczynn timer oglądają telewizję. Groźne dla strażackiego życia zdarzenia przeplatają się zwykle ze śmiesznymi i nietypowymi wezwaniami.

- Mamy mnóstwo dziwnych, a czasem śmiesznych wezwań. Wyjeżdżamy wszędzie, bo nikomu nie można odmówić pomocy - przekonuje Krzysztof Styczeń, rzecznik radomskich strażaków. - Trudno mówić o nietypowych i komicznych akcjach, bo najbardziej pamięta się niestety te tragiczne - mówi Janusz Oksiński, dowódca kieleckiej Jednostki Ratowniczo-Gaśniczej numer 1. - Są jednak sytuacje, w których strażacy nie mogą wyjść ze zdziwienia. Wtedy, gdy akcja zakończy się szczęśliwie, dla rozładowania stresu obraca się niektóre rzeczy w żart.

Strażak na golasa

Do dzisiaj kieleccy strażacy żartują z kolegi, który po ugaszeniu wiejskiego pożaru wpadł po szyję do ukrytego pod ruinami domu szamba. Ratownik jeszcze teraz denerwuje się, gdy o tym mowa, ale fakt jest faktem. Ponoć nawet po wypłukaniu wodą strażackie ubranie tak śmierdziało, że trzeba je było wieźć na dachu, golutkiego zaś strażaka w samochodzie. Na pocieszenie powiedzmy, że doświadczenia z gnojówką miał również pewien opatowski ratownik. - Najgorsze było to, że akcja była dość daleko od bazy i musieliśmy z nim jechać przez 30 kilometrów - wspominają koledzy.

Jeśli już przy strażackim pechu jesteśmy, to wspomnijmy o pewnym ochotniku z podkieleckiej wsi, który pierwszy pobiegł z węzem do płonącego autokaru. - Dojeżdżaliśmy wtedy na pomoc, gdy nagle usłyszeliśmy głośny huk - opowiada starszy sekcyjny Bogusław Raczyński z Kielc. - Pamiętam, że gruchnęliśmy śmiechem, bo ochotnik podskoczył, rzucił o ziemię prądownicą i

zaczął uciekać co sił w nogach. Okazało się, że wybuchła nagrzana opona, na którą ratownik jako pierwszy skierował prąd wody. Oczywiście nikomu nic się nie stało. Nieco zmieszani byli natomiast kieleccy strażacy, których wezwano do pożaru w jednym z bloków na osiedlu Czarnów. - W mieszkaniu pełno dymu, na kuchence przypalony obiad, normalne - opowiada Bogusław Raczyński. - Nagle z dymu wyłonił się kompletnie pijany i zupełnie goły właściciel mieszkania. Mężczyzna stał jak go pan Bóg stworzył i nie bacząc na spojrzenia sąsiadek, starał się dociec, co właściwie robimy w jego domu. Akcja zakończyła się na przekonywaniu delikwenta, że coś powinien na siebie włożyć.

Również promile sprawiły, że strażacy z Kazimierzy Wielkiej nie mogli wyciągnąć z samochodu ofiary wypadku. - Stoimy przy przewróconym w rowie "maluchu", a pijany uwięziony w środku kierowca drze się w niebogłosy, że nie chce pomocy, bo rów jego i samochód też jego - opowiada Janusz Buła, dowódca kazimierzowskiej jednostki - Cóż, pokazaliśmy delikwentowi nożyce hydrauliczne i postraszyliśmy, że potniemy mu autko. Wyszedł natychmiast i to bez naszej interwencji.

Początkowo zdezorientowani byli również ratownicy, których wezwano do uwięzionej we własnej wannie mieszkanki śródmieścia Kielc. - Byliśmy chyba tak samo zmieszani, jak ta pani i jej rodzina - wspomina Janusz Oksiński. - W końcu podłożyliśmy pod bohaterkę dramatu koce i w kilku ją wyciągnęliśmy. śmiać się nie było z czego, ale do dziś wspominamy to zdarzenie jako nietypowe. Radomscy strażacy do dziś pamiętają zgłoszenie od policji, że w swoim domu na czwartym piętrze prawdopodobnie zmarł 50-letni mężczyzna. Sąsiedzi zgłosili sprawę, bo mężczyzna od kilku dni nie pokazywał się przed blokiem, nie chodził do pracy. Strażacy na sygnale przyjechali po to, żeby wejść po długiej drabinie do mieszkania. Jakież było zdziwienie strażaka, gdy w mieszkaniu zobaczył pięćdziesięciolatka w niedwuznacznej sytuacji z kobietą w łóżku.

Spadachron ze... spódnicy

Dowódca kieleckiej JRG nr 3 Jan Frydrych uśmieł się serdecznie, gdy podczas akcji usłyszał przez radio, że żona wybiera się do niego z kanapkami. - Już miałem wychodzić z pracy, gdy wybuchł pożar na terenie zakładu "Iskra" - opowiada Jan Frydrych. - Z powrotem przebrałem się w ubranie ochronne i popędziłem na miejsce zdarzenia. Dyspozytorowi powiedziałem przez radio, żeby zadzwonił do mojej żony i przekazał, aby odebrała dziecko od mamy, bo ja nie zdążę. Po jakimś czasie dyspozytor również przez radio zawiadomił mnie, że żona dzwoni z pytaniem, czy ma mi dowieść kanapki, czy może przyjadę na kolację. Okazało się, że dyspozytor przekazując żonie informację o dziecku, nie powiedział wprost, że dłużej mi zejdzie, tylko, że pewnie nie przyjadę na kolację. Żona wzięła to bardzo dosłownie.

Strażacka powaga

Wpisany przez Andrzej Podolak

czwartek, 02 lipca 2009 11:38 - Poprawiony piątek, 03 lipca 2009 10:42

Bogusław Jakubczyk, dowódca jednostki w Końskich, wspomina do dziś zdarzenie po trosze komiczne, a po trosze makabryczne. - Weszliśmy do zadymionego domu w poszukiwaniu właściciela - opowiada strażak. - Okazało się, że nieprzytomny mężczyzna leży na kanapie. Ratownicy natychmiast go podnieśli i wtedy noga tegoż delikwenta została w rękach jednego ze strażaków. Wszyscy byli przerażeni, bo dopiero po chwili okazało się, że to proteza. Poszkodowany nie mógł nam tego powiedzieć, bo był zamroczony nie tyle dymem, co alkoholem.

Natomiast opatowscy strażacy nabrali szacunku do wiejskich przyodziewków. - Dostaliśmy zgłoszenie o kobiecie, która wpadła do studni - wspomina dowódca tamtejszej jednostki Andrzej Kolasa. - Jechaliśmy zestresowani, bo myśleliśmy, że będziemy wyciągać denatkę, tymczasem okazało się, że babcia miała długą, kilkuwarstwową i bardzo szeroką spódnicę, jaką nosiło się za dawnych czasów. Spódnica zadziałała jak spadochron i skokochron. Babcia była w szoku, ale czuła się dobrze.

Strachu przez strażaków najadł się za to mieszkaniowiec Ostrowca, który wybudował sobie mieszkanie w łączniku między klatkami wieżowca. - Chcieliśmy się dostać tym łącznikiem do pożaru w drugiej klatce - opowiada aspirant sztabowy Dariusz Lipa. - Nie wiedzieliśmy o mieszkaniu. Zobaczyliśmy drzwi na drodze, więc byliśmy pewni, że to jakaś pakamera. Wyważyliśmy drzwi z futryną i nagle znaleźliśmy się w pokoju. Nie wiadomo, kto był bardziej zaskoczony, my czy lokator.

Ze zwierzętami nie jest łatwo...

Koty, krowy, konie, łabędzie, a nawet węże dawały się już nieraz we znaki naszym strażakom. Gdy ratownicy odbierają zgłoszenie dotyczące zwierzątka, są niemal pewni, że akcja będzie obfitować w niespodzianki. - Pamiętam, jak złapaliśmy zabłąkanego łabędzia - mówi dowódca zmiany w JRG w Starachowicach Grzegorz Retkowski. - Po ptaka mieli przyjechać ludzie z ochrony środowiska, dlatego trzeba było go gdzieś przechować. Zamknęliśmy łabędzia w naszej kotłowni. Pech chciał, że akurat zajrzał tam palacz, który o niczym nie wiedział. Ptak najpierw zaczął syczeć, a potem przystąpił do ataku. Mimo naszej interwencji, palacz został poważnie poturbowany. Ale to nie koniec problemów z łabędziem. Przedstawiciele ochrony środowiska z Kielc przyjechali po ptaka "polonezem". Nie wiedzieliśmy, jak zapakować rozjuszonego łabędzia do samochodu. W końcu ktoś przytaszczył wielkie pudło po telewizorze "rubin" i tam wpakowaliśmy ptaszysko.

Niecodzienne zgłoszenie odebrali strażacy z Kazimierzy Wielkiej. Tym razem chodziło o wściekłego psa, który w czasie burzy wpadł do prywatnego domu i sterorryzował mieszkańców. Wystraszona rodzina zamknęła się w jednym z pokoi i przez kilkanaście godzin czekała, aż pies sam wyjdzie z domu. Gdy zwierzę z pianą na pysku nie dawało za wygraną, domownicy wezwali policję. - Funkcjonariusze poprosili o pomoc nas - wspomina Janusz Buła, dowódca jednostki w Kazimierzy Wielkiej. - Uruchomiliśmy całą ściśle określoną procedurę postępowania, wezwaliśmy pracownika "Sanepidu" i człowieka zajmującego się wyłapywaniem wściekłych zwierząt. Nasz strażak w ochronnym ubraniu wszedł do pokoju, gdzie była bestia i... spokojnie wyszedł razem z psem. Potem okazało się, że zwierzę należało do mieszkającego trzy domy dalej sąsiada. Pies bał się burzy, dlatego zerwał się z łańcucha, biegał po okolicy jak oszalały, a potem wpadł do przypadkowego domu. Był mokry, wystraszony i rzeczywiście miał pianę na pysku. Kiedy znalazł się w obcym otoczeniu, siadł bez ruchu i nie wiedział, co robić. Wystarczyło, że strażak do niego przemówił, a pies grzecznie wrócił do właściciela. Długo będzie pamiętał spotkanie z pszczołami ratownik z Sandomierza. - Mieszkańcy ulicy Wojska Polskiego zaalarmowali nas, że pod dachem ich domu załęgły się pszczoły - opowiada dowódca zmiany w sandomierskiej jednostce Adam Rataj. - Był wieczór, więc nie mogliśmy skontaktować się ze związkiem pszczelarskim, a owady trzeba było gdzieś przetransportować. Jeden z naszych kolegów, pszczelarz z zamiłowania, zaproponował, że weźmie pszczoły do swojego ula. Strażacy w ubraniach ochronnych zapakowali gniazdo do worka i wsadzili pakunek do tylnej kabiny samochodu, w której siedział również pszczelarz amator. Pech chciał, że w czasie jazdy worek pękł, a kierowca nie słyszał, co się dzieje w kabinie. Nasz strażak miał kilkanaście ukąszeń, na szczęście doszedł do siebie.

O miauczących o pomoc kotach, uwięzionych na zbyt wysokich drzewach, strażacy mogliby napisać rozprawę naukową. Niedawno w Busku taki kociak wlaź na bardzo wysokie i bardzo cienkie drzewo. O tym, że miał trudności z zejściem, wiedziała cała dzielnica, bo kot dał się w niebogłosy. - Podjechaliśmy z drabiną, ale drzewo było zbyt cienkie, aby strażak mógł wejść na gałąź - opowiada dowódca buskiej jednostki ratowniczo-gaśniczej Kazimierz Ścibło. - Zepchnęliśmy więc zwierzę patyczkiem, wychodząc z założenia, że kotek i tak spadnie na cztery łapy. No i dostało nam się od właścicielki wypieszczonego kociaka za to, że obeszlśmy się ze zwierzęciem nie delikatnie. Bywa.

Swojego kota i to bardzo zapachowego, mieli strażacy z Sandomierza. Bestyjka wlaźła na drzewo koło katedry i przez całą dobę alarmowała, że nie może zejść. Litościwi ratownicy zdjęli kotka i zapakowali do woreczka. Zanim przekazali pakunek właścicielce, kociak zdążył się wypróżnić. Kobieta była tak szczęśliwa z odzyskania pupilka, że zupełnie nie zwracała uwagi na śmierdzącą zawartość worka. Strażacy wręcz przeciwnie. Zdejmowanie kotów z drzew to również coraz częstsze zajęcie radomskich strażaków. Zdarzyło się nawet tak, że za kotem na drzewo wlaź pies i nie potrafił sam zejść. Przestraszona psina chciała pogryźć strażaka, ale wszystko skończyło się dobrze, piesek znalazł się na ziemi.

Kieleccy ratownicy wspominają do dzisiaj akcję z... krową. Działania były przedziwne z kilku powodów. Po pierwsze, dlatego, że krowa znalazła się w mieście. Pikanterii całej akcji dodawał fakt, że zwierzę znajdowało się na trzecim piętrze bloku mieszkalnego i za nic na świecie nie chciało zejść na dół. Strażaków o pomoc poprosili mieszkańcy budynku. Ratownicy długo zastanawiali się nad treścią zgłoszenia, myśleli, że ktoś chce im zrobić głupi kawał. Krowa na trzecim piętrze kosała się jednak faktem a sprowadzenie jej po deskach graniczyło z cudem. Tak naprawdę ofiarami dowcipnisi byli lokatorzy którym nie wiedzieć, w jaki sposób ktoś podrzucił... krowę.

Wyratowane zwierzaki mają również na koncie strażacy z Włoszczowy. - Gdy wezwano nas na pomoc małej wronie, która wypadła z gniazda w parku, myśleliśmy, że to kilkuminutowa akcja - wspomina dowódca włoszczowskiej jednostki Krzysztof Ciosek. - Tymczasem okazało się, że stare ptaki nie chciały przyjąć z powrotem młodej wrony. Perswazje trwały kilkadziesiąt minut. Nie mniejszym poświęceniem wykazała się włoszczowska straż przy ratowaniu cielaka, który utknął na małej wysepce wśród bagien. Ratownicy postanowili do niego dotrzeć, jednak w połowie drogi ugrzęźli w trzęsawisku. Gdy zaczęli wołać o pomoc, cielak wystraszony krzykiem, szybko opuścił wysepkę i znaną sobie drogą pognął do domu.

Zasłużeni dla... ornitologii

Nie mniejsze zasługi mają świętokrzyscy strażacy dla ornitologii, mimo iż w niektórych przypadkach ratowanie ptactwa wymagało wielkiego samozaparcia. Tak było z bocianem, który usadowił się na słupie energetycznym w okolicach Annapola. Zaniepokojeni tym, że bociek siedzi i się nie rusza, ludzie wezwali strażaków. - Tyle co strażak wszedł po drabinie na górę, a bociek przesiadł się na następny słup - opowiada Adam Rajtar z Sandomierza. - Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie, bo bociek czekał aż strażak podejdzie z drabiną i wejdzie po niej na górę. Dopiero wtedy cwane ptaszysko zmieniał miejsce.

Z kolei mieszkańcy Skarżyska wezwali swoich strażaków do gołąbka dyndającego główką do dołu i zaczepionego jedną nóżką o kolczasty drut. - Przeprowadziliśmy bardzo poważną akcję z użyciem drabiny mechanicznej - wspomina rzecznik skarżyskiej straży Waldemar Madej.

Strażak do wszystkiego podchodzi poważnie

- Ludzie często pytają, czy strażacy muszą uczestniczyć w takich nietypowych działaniach - mówi rzecznik prasowy Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej w Kielcach Zbigniew Serafin. - Niezmiennie odpowiadam, że naszym obowiązkiem jest interweniowanie w sytuacjach stwarzających zagrożenia dla zdrowia i życia. Dlaczego jednak mamy nie pomóc starszej samotnej właścicielce kotka, dla której ten zwierzak jest jedyną pociechą w życiu? W końcu mamy takie możliwości i tak naprawdę niewiele nas to kosztuje. Nieprzypadkowo w sondażach publicznych strażacy okrzyknięci zostali służbą ratowniczą cieszącą się największym zaufaniem społeczeństwa. W ciągu roku mamy co najmniej kilkadziesiąt akcji, w których tak naprawdę nie chodzi o bezpośrednie zagrożenie, ale o zwykłą ludzką pomoc. Właściwie to żadne z wezwań nie jest śmieszne, a strażak do każdego wezwania musi podejść poważnie. Dopiero po akcji, gdy wszystko pójdzie dobrze, można się pośmiać z jakiejś sytuacji.

Otóż, komicznie zakończyło się na przykład pewne groźne z początku zdarzenie w jednym ze świętokrzyskich miasteczek. Dyskretnie nie wymawiamy nazwy miejscowości, bo do wypadku doszło, gdy pewien pan pospiesznie opuszczał mieszkanie zamężnej damy. Forsując przydomowe ogrodzenie, mężczyzna nabił się na pręt tak niefortunnie, że strażacy musieli wycinać część płotu razem z nieszczęśnikiem. Rannego zabrano do szpitala, a metalowe części ogrodzenia do jednostki. Następnego dnia do straży zgłosił się właściciel posesji zupełnie nie poruszony zajściem przy jego domu. Mężczyzna poprosił jedynie o odcięte części ogrodzenia, twierdząc, że nie chce mu się dorabiać nowych. - Zimna krew - podsumowali incydent z nieukrywaną zazdrością ratownicy. Trochę podobną przygodę mieli radomscy strażacy. Blisko trzy lata temu młody chłopak próbował przeskoczyć wysoką na trzy metry bramę ogrodzeniową, za którą znajdowała się posesja znanego biznesmena. Traf chciał, że chłopak przebił sobie na ostrej bramie rękę, zahaczył spodniami i nie mógł zejść na dół. Strażacy zdjęli nieszczęśnika z bramy. Tłumaczył się, że za bramę wpadła mu piłka ale policjanci nie dowierzali, przycisnęli chłopaka i wyśpiewał im, że miał zamiar okraść biznesmena.

"Echo Dnia Kieleckie" (Małgorzata Pawelec, Sylwester Szymczak) 22-02-2002 r.